

Steven Hartov



**Nylonowa
ręka boga**

Tytuł oryginału: The Nylon Hand of God

Tłumaczył: Dariusz Bakalarz

©Steven Hartov

© 2020 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-40-6

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB oraz Espadon Publishing Sp.
z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Steven Hartov

Nylonowa ręka boga

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 0

Prolog

Nowy Jork, listopad 1992 roku

Meir Ben-Czecho wiedział o zbliżającej się śmierci, lecz nie zamierzał poddać się wstydlivemu uczuciu strachu.

Właściwie nie istniało żadne zagrożenie, nie było powodu do niepokoju, a rosnący lęk zamierzał zamknąć na klucz w kąciiku umysłu zarezerwowanym dla fantazji, przesądów i słabości. Zatrzasnął drzwi do swojej podświadomości przed tą jadowitą zmiją, aby nie było jej widać, czuć, ani słyszać jej natrętnego syczenia. Ignorował obawy tak, jakby w ogóle się nie pojawiły.

A jednak strach istniał. Jak mdlący zapach naelektryzowanego powietrza, kiedy zbliża się burza. Jak trzepot ptasich skrzydeł w mroku, rozlegający się nawet wtedy, gdy ostrożnie stawiane kroki czegoś wielkiego i groźnego nie łamią ani jednej gałązki z podszycia.

Meir rozumiał – był odpowiednio przeszkolony – że ta kwintesencja strachu stanowi fizjologiczną reakcję na pewien rodzaj bodźca z otoczenia. Umysł, rezygnując z własnej logiki, ostrzegał ciało przed możliwością zagłady.

Nadnercza już dodawały sił mięśniom, wstrzykując w nie adrenalinę. Rosnący puls serca powiększał napływ tlenu do maksimum. Rozszerzyły się źrenice, aby wpuszczać więcej światła. Kanały słuchowe nastawiły się na wyłowienie delikatnych dźwięków, a receptory zapachu wyczuliły się na najdrobniejsze cząsteczki trafiające z oddechu napastnika do atmosfery. I nawet krew odpłynęła mu z kończyn, a naczynia krwionośne zwęziły się, by cięcie ostrzem lub przebicie kulą nie spowodowały gwałtownego krwotoku.

Ciało potrzebowało na przygotowanie zaledwie paru milisekund, a teraz przyszedł czas na następną fazę. Na fazę decyzji.

Walczyć albo uciekać.

Meir Ben-Czecho był oficerem bezpieczeństwa w izraelskim konsulacie, nie dany więc był mu luksus wyboru. Nie mógł uciekać. A ponieważ ogarniający go jak febra strach nie wynikał z jakiegoś dostrzegalnego niebezpieczeństwa, Meir postanowił powściągnąć swoją intuicję.

Uznał, że dzisiaj absolutnie nie znajduje powodów do strachu. Dzień jak co dzień – późnojesienny poranek stanowiący lustrzane odbicie setek innych. Nie uległ zmianie żaden z rutynowych zwyczajów konsulatu, na korytarzach ani razu nie włączył się alarm, żaden kryzys dyplomatyczny nie pojawił się przez cały, długi, pracowity tydzień zmierzający ku szabasowi. Owszem, Meir z uwagi na swój zawód stanowił potencjalny cel dla zamachowców. Lecz, niczym pilot oblatywacz, od dawna żył z tą obawą, nauczył się więc ją ignorować.

Konsulat oraz Stała Misja przy ONZ zajmowały pięć pięter typowego dla Manhattanu drapacza chmur przy Drugiej Alei. Było to zwyczajne, izraelskie biuro rządowe przeniesione w zachodnie warunki. Ściany działowe zbudowano z otynkowanego betonu, na podłogach płytki PCV, które wyglądały jak kupione na wyprzedaży w hurtowni. Na ciężkich, poniszczonych, drewnianych biurkach stały kubki po herbacie, ponieważ się niedopałki i trudno byłoby znaleźć dwa jednakowe krzesła.

Na poplamionych palcami ścianach jedyną ozdobę stanowiło kilka zestarzałych, wyglądających jak listy gończe z amerykańskich posterunków, czarno-białych zdjęć przedstawiających wiekowych mężów stanu i pracowników kibucu.

Zgodnie z politycznymi trendami konsulat był obiektem niezwykle strzeżonym i przypominał przyczółek pogrążonego w wojnie kraju, wtopiony w architekturę potężnego sprzy-

mierzeńca. Pełno tu było tajnych przejść i dróg ewakuacyjnych, a także obserwujących każdy zakątek kamer wideo oraz urządzeń prześwietlających promieniami rentgena odbierane przesyłki pocztowe. W szufladach biurki znajdowało się więcej pistoletów niż w rezydencji kolumbijskiego barona narkotykowego.

Na tej wyspie miłości i paranoi serdecznie przyjmowano przyjaciół, rewidując ich równocześnie w poszukiwaniu ewentualnych wrogów. Ta druga czynność – nieprzyjemna, lecz konieczna – należała do obowiązków Meir.

Mijało ostatnie dziesięć minut jego służby na trzynastym piętrze budynku. Na trzynastym piętrze – pierwszym, które należało do konsulatu – znajdowały się drzwi. Wchodzili przez nie Izraelczycy pragnący odnowić paszporty, obcokrajowcy składający wnioski o wizy oraz rodzice młodych, amerykańskich Izraelczyków błagający o zwolnienie ich synów ze służby wojskowej (zakłopotani chłopcy zwieszali zazwyczaj głowy i wpatrywali się w czubki butów). Przyjmowanie klientów ograniczało się do tego terenu, ponieważ wyższe piętra stanowiły enklawę dyplomatów, tam też znajdowały się centra komunikacyjne ochrony oraz ciche kryjówki oficerów Mossadu, ukrywających się pod szyldem radców ekonomicznych.

Stanowisko Meir znajdowało się na pierwszej linii obrony, gdyż żaden z gości – czy to zwykły goniec, czy doradca prezydenta z Białego Domu – nie mógł tak po prostu wejść do konsulatu. Podwójne drzwi windy pasażerskiej otwierały się na przestronną poczekalnię oraz pomieszczenie ochrony. Poczekalnia wyposażona została w plastikowe krzesła, zapchane popielniczki i oprawione w tanie ramki plakaty propagandowe Ministerstwa Turystyki, oraz maszt z izraelską flagą. Po drugiej stronie zdeptanego, niebieskiego dywanu, na przeciwległej ścianie dominowały dwuskrzydłowe stalowe drzwi zabezpieczone elektromagnetycznym zamkiem. Tuż obok znajdowało się duże okienko z kuloodpornego szkła.

Okienko było w tym obiekcie czymś nowym i stanowiło wynik pewnego zatargu pomiędzy Ministerstwem Spraw Zagranicznych a Służbą Bezpieczeństwa Ogólnego, znaną pod hebrajskim skrótem Szin Bet. Poprzednio wszyscy goście musieli złożyć coś w rodzaju ukłonu przed obserwującymi ich kamerami i byli przesłuchiwanymi przez interkom. Według Szin Bet to poniżenie wywierało skuteczny efekt psychologiczny. Dyplomaci jednak skutecznie przekonali ich, że choć kraj teoretycznie znajduje się w stanie wojny z dwudziestoma krajami arabskimi oraz z ugrupowaniami terrorystycznymi, to nie może prezentować się światu jak więzienie o zaostrożonym rygorze. W światowych środkach publicznego przekazu na pierwszy plan wysunął się proces pokojowy, i konsulaty, choć były małymi fortecami, jednak nie powinny za takie uchodzić.

Nowojorscy oficerowie Szin Betu nienawidzili tego „akwarium”. Tak jak wszyscy inni członkowie zespołu, Meir cierpiał, gdy pełnił służbę, siedząc za szybą niczym samotny kasjer bankowy pilnujący Fort Knox. Nie wierzył, iż kuloodporne okno może stanowić jakąś ochronę. Widział w Libanie, co zwykły granat przeciwpancerny może zrobić z opancerzonym samochodem.

Siedział po izraelskiej stronie za kontuarem w małym, słabo oświetlonym pomieszczeniu. Na rzędzie monitorów widział pozostałe części obiektu. Do gości w poczekalni mógł mówić przez umieszczony na kontuarze mikrofon, obok którego znajdował się czerwony aparat telefoniczny oraz przycisk z napisem ALARM. Z tego, co wiedział, żaden członek Szin Bet nigdy go nie naciskał, bo równało się to włączeniu syreny w bazie Sił Powietrznych.

Pod oknem wmurowana była w beton stalowa szuflada, przez którą można było przyjmować z zewnątrz paszporty lub dokumenty identyfikacyjne. Poniżej wylaniał się z cienia rząd fotografii z wizerunkami aktywnych, antyizraelskich terrorystów. Nie byli to politycy w rodzaju George’a Habasha czy Ahmeda Jabrila, ale ludzie biorący udział w napadach, zamachach bombowych i strzelaninach. Meir często na nich spoglądał, nie traktując ich jednak jako wrogów, lecz przeciwwagę uzasadniającą jego istnienie.

W kaburze przypiętej do pasa trzymał Berettę kalibru 0,22 cala. Skuteczność pistoletu budziła wątpliwość, ale w niewielkich pomieszczeniach konsulatu pocisk kalibru 9 mm łatwo mógł przedziurawić terrorystę i przy okazji zabić jakiegoś pechowego nowojorczyka, zgłaszającego się dobrowolnie na zbiór bananów w kibucu.

W kręgach Szin Bet krążył dowcip o zaprojektowaniu kuli, która zabijałaby terrorystów, raniła dyplomatów, a każdego innego omijała. Ludzie ci nie traktowali swoich obowiązków zabawowo, lecz, jak przy każdym niebezpiecznym przedsięwzięciu, potrzebowali odrobiny rozluźnienia. W każdej sekundzie swojej służby pozostawali czujni jak gazy. Rutyna męczyła, ale odrobina nieuwagi mogłaby spowodować śmierć tych, których ochraniali, lub ich samych.

W ciągu roku pracy Meira w konsulacie nie zdarzyło się właściwie nic szczególnego. Przysłany kilka miesięcy temu do konsula generalnego ładunek wybuchowy natychmiast wykryto i unieszkodliwiono. Pewien zagorzały zwolennik Louisa Farrakhana wyszedł kiedyś z windy, wymachując plastikowym pistoletem, który na szczęście odrzucił, zanim został postrzelony przez Meira i jego dwóch kolegów. Nie działo się nic, co mogłoby w najbliższej przyszłości zagrozić jego ciału, nie rozumiał więc, czemu serce mu bije, jakby przebiegł tor z przeszkodami w Wingate.

Miał już kiedyś podobne przecucie, tuż przed powrotem do domu z wyprawy, podczas której leżał w zasadzce przygotowanej nieopodal Mardż Ujun. Tak, to takie samo niemądre wrażenie, jakie może mieć pilot, któremu zbyt wiele razy gładko poszło lądowanie – podskórne przecucie, że karta może się odwrócić.

Siedząc na obrotowym krześle przyjrzał się swym dłoniom leżącym na blacie. W pomieszczeniu było ciepło, lecz jemu drżały koniuszki palców, a lewe kolano podskakiwało pod wpływem poruszającej się stopy.

Ażeby stłumić przecucia, wymuszał na sobie pozorny spokój, wspominając nauki swoich instruktorów. Ciało to nie świątynia. To niewolnik, nad którym trzeba zapanować. Zaczął oddychać przeponowo – głęboko wciągał powietrze i powolnym wypuszczaniem obniżał puls serca. Zacisnął palce, zmuszając je do spokoju, tak jak co tydzień czynił to na strzelnicy w Nassau.

– Hej, Yogi, postaraj się nie zasnąć jeszcze przez te dziesięć minut.

Meir prawie spadł z krzesła, lecz szybko udało mu się odzyskać równowagę. Spojrzał do góry i zobaczył odbitą w szybie twarz swojego szefa. Ubrany w ciemną koszulę i kwiecisty krawat Hanan Bar-El, niski, muskularny czterdziestolatek, stał za plecami Meira w wejściu do pomieszczenia.

– Praktykowałem Krav-Maga – powiedział Meir, składając dłonie w pierwszej pozycji walki wręcz.

– Tylko nie stłucz czegoś drogiego – ostrzegł żartobliwie Bar-El. Szef Szin Bet w Nowym Jorku nie był człowiekiem zbyt pogodnym. Meir jednak należał do jego ulubionych podwładnych. – I wpuść tych biednych, zagubionych Rosjan. Do zobaczenia w poniedziałek. – Gdy Bar-El zamykał drzwi, Meir kiwnął do niego ręką.

Spojrzał przez okienko na pięcioro interesantów w poczekalni. Rodzina Rosjan: młodzi rodzice i dwójka brzdąców, wyglądających w zimowych ubrankach jak małe, zapasione misie. W dzisiejszych czasach większość rosyjskich Żydów marzy o Ameryce, a ta tutaj rodzina z Manhattanu zatęskniła za Jerozolimą. Meir również był repatriantem i wzruszał go taki naiwny idealizm.

Włączył mikrofon i zapytał po angielsku: – Pan Penkovsky? Proszę wejść. – Nacisnął guzik, zabrzęczał magnetyczny zamek i Rosjanie weszli przez drzwi z taką radością, że Meir poczuł się przez chwilę jak biletier w Disneylandzie.

W poczekalni pozostała dziewczyna wyglądająca na niecałe dwadzieścia lat. Ubrana była w jasnożółte kozaczki i niebieską, wełnianą czapkę narciarską. Zdjęta czapkę i, rozpuszczając rude włosy, uśmiechnęła się. Pokiwał do niej ręką.

Spojrzał na zegarek.

Sześć minut.

Napięcie powoli mijało i Meir pozwolił sobie na rozmyślanie o przeszłości. Melancholie zastąpiła po chwili nadzieja związana z niezbyt odległą przyszłością. Wkrótce Meir skończy karierę w Szin Bet i zajmie się czymś bardziej obiecującym...

Dość dawno temu zdał sobie sprawę, że nie może liczyć na błyskotliwą karierę w izraelskim wywiadzie. Urodził się w Czechosłowacji jako Meir Kubis – syn goja i Żydówki, co według zasad biblijnych czyniło go członkiem Rodu. W wieku siedemnastu lat wyemigrował do Izraela i, rozpoczynając nowe życie, zebrał nowe nazwisko.

Kiedy Meir zakończył trzyletnią, obowiązkową służbę wojskową pełnioną w brygadzie piechoty na Wzgórzach Golan, złożył podanie o przyjęcie do oddziału izraelskiego wywiadu wojskowego – AMAN-u. Prawie natychmiast okazało się, iż wyklucza go pochodzenie z bloku wschodniego, lecz dopisało mu szczęście, gdyż jego podanie rozpatrywał między innymi major Benjamin Baum – dziecko holokaustu.

– Kubis? – Baum podniósł brwi, przeglądając akta Meira. – Tak jak Jan Kubis?

– To mój stryjeczny dziadek – mruknął Meir z niechęcią.

– Mój chłopcze! – Baum był oszołomiony tym spotkaniem. Oprócz służby w AMAN-ie, zajmował się amatorsko historią czasów wojny. Jan Kubis uchodził za czechosłowackiego bohatera. Jako sierżant został zrzucony zimą nocą 1941 roku na spadochronie przez brytyjski wywiad do czeskich lasów. Pełnił kluczową funkcję w tajnej misji o kryptonimie Anthropoid. Kubis brał również udział w zorganizowaniu zamachu, w wyniku którego śmiertelnie raniono Obergruppenführera SS Reinharda Heydricha – nazistowskiego rzeźnika Pragi. Potem zginął w strzelaninie z gestapo.

Baum umieścił Meira w oddziale do działających specjalnych, a także znalazł mu miejsce przy szabasowym stole w swym jerozolimskim domu. Nie dało się jednak całkowicie ominąć przepisów służb wywiadowczych i, kiedy stało się jasne, że restrykcje nie pozwolą przeżyć Meir takich przygód w wywiadzie, na jakie liczył, major pomógł mu przenieść się do Szin Betu.

Tak jak brytyjski MI-5 czy amerykańskie FBI, Szin Bet zajmował się kontrwywiadem. Odpowiedzialny był jednak także za wyszkolenie strażników ochraniających pasażerów lotów linii El Al, terminale lotniskowe i konsulaty za granicą. Młodzi mężczyźni, świeżo po służbie wojskowej, często zostawali funkcjonariuszami ochrony (w slangu nazywano ich *pistoleros*) z powodów nie tylko patriotycznych. W ten sposób mogli zwiedzić świat, posmakować kobiet za granicą i zaoszczędzić parę szekli. Niektórym udawało się awansować na stanowiska regionalnych szefów bezpieczeństwa, inni powracali nawet do Tel Awiwu i robili karierę w Centrali. Meir jednak nie dał się już omamić takim złudzeniom.

Miał natomiast pewien prywatny sekret, którym nie dzielił się ze swymi współpracownikami, i czasami doskwierały mu z tego powodu wyrzuty sumienia. Zamierzał zrezygnować ze służby. Co gorsza planował zostać w Nowym Jorku i zapisać się na uniwersytet, co już zakrawało na zdradę.

Powodem tego wszystkiego była Kathleen.

Spotkali się na przyjęciu z okazji święta Halloween, na które Meir został zaproszony przez swego nowojorskiego przyjaciela studiującego na uniwersytecie. Owego deszczowego wieczoru pojechał na przyjęcie prosto z pracy i, w przeciwieństwie do innych gości, nie miał żadnego przebrania – nawet zwykłej plastikowej maski.

Kathleen miała długie brązowe włosy, skórę jak irlandzka śmietanka, a jej piegowaty nos wystawał spod różowej maski bandyty. Miała też purpurową sukienkę oraz magiczną różdżkę. Podeszła prosto do Meir i dotknęła go różdżką w głowę.

– A ty kim niby masz być?

Meir ze szklanką wódki w dłoni, pobrząkując lodem, przeciskał się przez tłum gości, a REM grał „Losing my religion”. Czując, że coś różni go od anonimowych kostiumów, odpowiedział spontanicznie i nie do końca rozsądnie:

– Tajnym agentem.

– O, naprawdę? – Oczy spod maski zlustrowały go uważnie. – Więc gdzie twój kostium?

Odpowiedział nadzwyczaj nieprofesjonalnie, lecz akurat w tym momencie zdał sobie sprawę, że i tak nie robi kariery w wywiadzie. Rozsunął poły marynarki, pokazał pistolet w kaburze na prawym biodrze, a potem zapiął marynarkę i uśmiechnął się.

– No, no. – Przez długą chwilę Kathleen stała nieruchomo, a potem zdjęła maskę z twarzy. – Skąd się tu wzięłeś?

Meir jednak nie dosłyszał pytania, gdyż zahipnotyzowały go jej oczy. Później tysiące razy odtwarzał w myślach wspomnienia z tamtego wieczoru. Jej małe mieszkanie, wspomnienie jej palców, wilgoć odpinanego wełnianego płaszcza, jej oddech na ucho i chłodną skórę nabierającą ciepła pod jego dotykiem.

W Izraelu nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był podobny do wszystkich innych młodzieńców. Tam prawie każda dziewczyna obok szminki w torebce nosi pistolet.

Tutaj natomiast był dla Kathleen Jamesem Bondem. Nie mogła się nim nasycić...

Meir zdał sobie sprawę, że na kilka chwil puścił wodze fantazji, marzenia stały się tak realne, że musiał założyć nogę na nogę i przechylić się do przodu, ażeby ukryć dowód swojego erotycznego entuzjazmu. Dość kępujące byłoby iść podpisać listę ze wzgórkami na spodniach i rumieńcem na twarzy. Musi odłożyć te sprawy na później. Planowali z Kathleen wyskoczyć na weekend do pewnego zajazdu na południowym wybrzeżu Connecticut.

Podwójne drzwi windy otworzyły się i, gdy przez chwilę nikt się nie pojawiał, powróciło uczucie niepokoju. Zaciśnął palce na blacie kontuaru. Spojrzał przez szybę, a potem rzucił okiem na zegarek. Jedna minuta. Dochodziła niemal dwunasta trzydzieści w południe. Żadnych interesantów po wpół do pierwszej. Żadnych.

Zachnął się na swoją głupotę, gdy w poczekalni zauważył mężczyznę. Był to chasyd – ortodoksyjny Żyd w czarnym kapeluszu o szerokim rondzie, z długimi pejsami. Z krzaczastej brody spadały na dywan krople deszczu. Od szyi aż do kostek postać chasyda okrywał czarny wełniany chałat.

Jeszcze jeden zabytek z dziewiętnastego wieku, pomyślał z ulgą Meir. Równie niebezpieczny jak głodny pudel. Mężczyzna rzeczywiście wyglądał jakby zszedł wprost z brukowanej ulicy starego polskiego sztetl.

Wyjątek stanowiły buty. Czy dzisiaj jest jakieś religijne święto? – zastanowił się Meir. Mężczyzna miał na stopach przemoczone, płócienne buty do gry w koszykówkę. W dawnych czasach przestrzegano religijnej zasady, aby określonego dnia w roku nie nosić nic, co byłoby zrobione ze zwierzęcej skóry.

Chasyd przemierzał powoli odległość pomiędzy drzwiami i okienkiem, a Meir badawczo przyglądał się jego twarzy. Przez cały tydzień przeszły tędy setki takich ludzi, przygotowujących się do pielgrzymki do Jerozolimy. Jeśli wypadło im długo czekać w sekcji paszportów, często można ich zastać modlących się i owiniętych w tałas.

Meir uważnie wpatrywał się w rysy twarzy chasyda. Szeroki, płaski nos, skóra nie do tego stopnia biała, jakiej można by się spodziewać u ludzi spędzających czas w mrocznych pomieszczeniach nad modlitewnymi księgami.

I jeszcze coś. Żółte linie na białkach ocznych oznaczały przebyłą żółtaczkę. Oczy błyszczały i patrzyły nieruchomo przed siebie. Było to spojrzenie puste, beznamiętne.

Człowiek oddany Bogu, uznał Meir. Mimo że chasyd miał zaciśnięte usta, jego wargi drgały w bezwiednych skurczach.

Przybysz zatrzymał się pół metra przed okienkiem. Rudowłosa dziewczyna w poczekalni podniosła wzrok znad kieszonkowego wydania książki. Meir wziął do ręki mikrofon.

– *Shalom*. Czym mogę służyć? – zapytał po angielsku.

Chasyd nie poruszył się. Nozdrza miał jeszcze zarumienione od oddychania chłodnym powietrzem.

Meir odchrząknął.

– *Efshar lazohr l'cha?* – zapytał o to samo po hebrajsku. Być może chasyd urodził się w Izraelu, na Brooklyń przyjechał tylko z wizytą i teraz, aby powrócić do domu, potrzebuje odnowić paszport.

Żadnej odpowiedzi.

Meir zastanawiał się już, czy wezwać Bar-Ela, kiedy chasyd powolnym ruchem sięgnął do kieszeni chałatu i wyjął złożoną kartkę.

Boże, to głuchoniemy. Meir przesunął szufladę na stronę tego biedaka, który wrzucił kartkę do środka. Potem Meir z powrotem przyciągnął szufladę, wyciągnął kartkę i rozłożył ją. Pismo było nierówne, jak gdyby kreślone artretyczną dłonią. Dużymi hebrajskimi literami napisane zostały tylko dwa słowa, lecz trudno było odczytać ich znaczenie. Czy to imię i nazwisko? A może to w jidysz?

Gdy powtórzył zwrot na głos, poczuł wstrząs na całym ciele.

– Allach Akbar.

Bóg Jest Wielki.

Wojenne zawołanie islamu!

Meir poderwał głowę, lecz krzyk ugrzązł mu w gardle. Widział przyciśniętą do szyby, naczyną kropelkami deszczu lub potu twarz chasyda. Usta rozciągały się w uśmiechu. Dwa rzędy owiniętych srebrnymi drucikami zębów otaczały poruszający się język. Mężczyzna próbował powiedzieć coś, czego nie było słyhać.

Meir zauważył, że chasyd wsuwa dłoń pod połę chałatu i zaciska palce na plastikowej płytce. Całą siłą nabrzmiałych adrenalina mięśni Meir odepchnął się od kontuaru i rzucił do tyłu.

Wiedział jednak, iż jest już za późno.

Chałat musiał stanowić dla chasyda nie lada ciężar, gdyż ważył ponad dziesięć kilo. Podbity był czterdziestoma paskami Semtexu-B – wyprodukowanego w czeskosłowackiej fabryce materiału wybuchowego, spalającego się z prędkością ponad siedmiu tysięcy metrów na sekundę.

Detonator stanowiła spłonka z fulminianu rtęci, połączona z trzema innymi spłonkami, schowanymi w paczce po Marlboro wsuniętej do wewnętrznej kieszeni chasyda. Guzik chałatu łączył się za pomocą drucika ze sznurem spustowym, który zamykał prosty zasilany bateriami obieg elektryczny.

Chasyd zniknął w słońcu bijącego żaru rozpuszczającego krew i kości – jego oraz rudowłosej dziewczyny. Trzeba przyznać producentowi, że szyba kuloodporna została solidnie wykonana. Jednak w całości wyleciała z framugi i wcisnęła się do pomieszczenia Meira niczym ogromny tłok.

I w tej ostatniej mikrosekundzie, zanim świat spowiła czerń, zanim ciało zderzyło się z drewnianymi drzwiami i przeleciało przez nie, Meir uświadomił sobie, że... powinien był posłuchać instynktu.